NIEDZIELA
TYGODNIOWY DODATEK BEZPŁATNY
Nr. 2 Katowice, dnia 13-go stycznia 1929

Niedziela pierwsza po Trzech Królach.

LEKCJA

z listu św. Pawła do Rzymian r. 12

Bracia! Proszę was przez miłosierdzie Boże, abyście wydawali ciała wasze ofiarą żyjącą, świętą przyjemną Bogu, rozumną służbą waszą. A nie bądźcie podobnymi temu światu, ale się przemieńcie w nowości umysłu waszego, abyście doświadczali, która jest wola Boża dobra, i przyjemna i doskonała. Albowiem z łaski, która mi jest dana, powiadam wszystkim, którzy między wami są; żeby nie więcej rozumieli, niźli potrzeba rozumieć; ale iżby rozumieli według mierności, jako każdemu Bóg udzielił miarę wiary. Albowiem jako w jednem ciele wiele członków mamy, a wszystkie członki nie jednę sprawę mają; tak wielu nas jednem ciałem jesteśmy w Chrystusie a każdy z osobna jeden drugiego członkami; w Chrystusie Jezusie Panu naszym.

EWANGELJA

zapisana u św. Łukasza w rozdz. II., wiersz 42—52.

Gdy Jezus doszedł do lat dwunastu, udali się Rodzice Jego do Jerozolimy, na zwykły obchód tej uroczystości. A po upływie świąt, gdy wybierali się z powrotem, pozostał młody Jezus w Jerozolimie, o czem nie wiedzieli Rodzice Jego. W mniemaniu, że idzie On z gromadą, odbyli dzień drogi i poszukiwać Go zaczęli pomiędzy krewnymi i znajomymi. Ale nie znalazłszy, wrócili do Jerozolimy i szukali Go. I stało się, że dnia trzeciego znaleźli Go w świątyni, gdy siedział wśród uczonych, przysłuchując się im i zadając im pytania. Wszyscy zaś, którzy Go słuchali, byli wielce zdumieni Jego rozumem i odpowiedziami. A ujrzawszy Go, bardzo się zdziwili. Matka zaś Jego rzekła doń: Synu, czemuś nam tak uczynił. — Oto ojciec Twój i ja z bólem serca szukaliśmy Ciebie. A On im odrzekł: Czemuż to szukaliście Mnie? — Nie wiedzieliście, że potrzeba, abym brał udział w sprawach Ojca Mego? — Ale oni nie zrozumieli odpowiedzi, którą im dał. — Wrócił się tedy z nimi i przybył do Nazaretu i był im posłuszny. A Matka Jego przechowywała w Swem sercu wszystkie te zdarzenia. Jezuś zaś wzrastał w mądrości i w latach i w łasce, u Boga i u ludzi.

NAUKA.

„Ojciec twój i ja szukaliśmy ciebie".

Gdy Jezus doszedł do lat dwunastu, podług przepisów prawa Mojżeszowego uważany był za dorosłego i pełnoletniego. Prawo to wymagało, ażeby wszyscy mężczyźni trzy razy do roku podążyli do Jerozolimy na główne święta żydowskie: Wielkanoc, Zielone Świątki i Kuczki. Zbawiciel spełnia ten przepis, najpierw dlatego, aby dzieciom dać przykład gorliwego uczęszczania na nabożeństwa. A potem dlatego, aby po raz pierwszy zaznaczyć publicznie, że nie jest Synem cieśli z Nazaretu, Józefa, lecz Synem Bożym.

Gdy się bowiem Matka Najśw. pyta: Synu, cóżeś nam tak uczynił? — Oto ojciec twój i ja, z bólem serca szukaliśmy ciebie — odpowiada Pan Jezus: „Nie wiedzieliście, że potrzeba, abym brał udział w sprawach Ojca mego?!" Odpowiedź ta mogła brzmieć: „Matko, nie nazywaj moim ojcem Józefa, gdyż dobrze wiesz, że ojcem moim jest Bóg!" Wiele delikatniej odpowiedział Zbawiciel w taki sposób, że z całem uszanowaniem tłumacząc się Matce swej, odsłania tajemnicę boskiego swego synostwa i prostuje zarazem nieścisłe, mylne jej wyrażenie.

Jakże też mogła Matka Boska nazwać św. Józefa ojcem Pana Jezusa? Tak samo, jak nieraz i dziś jeszcze ludzie, gdy przyjmą sierotkę na wychowanie, nazywają się jej ojcem lub matką.

Podobnie Pan Jezus mówił św. Józefowi „ojcze", dopóki był dzieckiem. Teraz jednak, gdy podług prawa stał się pełnoletnim, już to nie uchodzi. Zaznacza więc publicznie w świątyni, że tutaj brał udział w sprawach Ojca! A co to za sprawy?

Wiemy, że w krużgankach świątyni Jerozolimskiej uczeni wykładali naukę o Bogu. Przysłuchiwał się tej nauce mały Jezus, a potem sam przemówił „w sprawie Ojca". a przemówił o Bogu tak jasno, wyczerpująco jak nie może o Bogu mówić najuczeńszy człowiek. Tak mógł mówić tylko Ten, który zstąpiwszy z nieba na świat nie przestał ani na chwilę przebywać na łonie Ojca swego niebieskiego, który będąc od lat 12 synem Marji, nie przestał nigdy być Synem Bożym, a więc Bogiem! Amen.

Gwiazda.

(Legenda wschodnia).

Zdała od rozległych równin Mezopotamji, na południe od Libanu, pewnej jasnej nocy, gdy niebo zasiane było błyszczącemi gwiazdami, które drżały jak żywe brylanty, wśród ciszy uśpionego świata, zabłysła niespodzianie nowa gwiazda.

Gwiazda ta, której dotąd żadne ludzkie oko nie widziało, była jasną, wielką promienną gwiazdą na podobieństwo małego słońca, jej silny blask przyćmiewał sąsiednie gwiazdy, drgające na sklepieniu niebios.

I gwiazda ta ukazała się na zachodzie.

Ludzie, którzy ją spostrzegli, zadziwili się, — a wieść o jej pojawieniu rozniosła się szybko po wszystkich miastach i siołach państwa. I wszyscy to podziwiali i pytali się, co wróży ten znak niebieski.

I nikt nic nie wiedział.

Piątej nocy wieść o cudownej gwieździe doszła do uszów trzech znakomitych i sławnych mędrców w Chaldei, ludzi biegłych w księgach, którzy umieli patrzeć w przyszłość i czytać w zakrytych jej tajnikach.

Ci gdy zobaczyli tę gwiazdę, zadziwili się bardzo i zaniepokoili. Żaden bowiem z nich nie mógł

pomimo głębokiej swej mądrości, odgadnąć, co zapowiada światu to nowe światło niebieskie. I mówili oni pomiędzy sobą:

— Przejrzyjmy stare księgi proroków. Może w nich jest coś napisanego o tem niebieskiem zjawisku. I zabrali się z wielką pilnością do przeglądania starej mądrości dokumentów, napisanych na papirusie i zajęczych skórach.

Trzy dni i trzy noce mędrcy zatapiali się w pismach proroków, czytali je, wyjaśniali, chcąc znaleźć odpowiedź pożądaną.

Aż na schyłku trzeciej nocy, mędrcy wydali okrzyk wielkiej radości, bo znaleźli w księgach przepowiednię tej cudownej gwiazdy.

Dawne proroctwo przepowiadało, że przyjdą nowe czasy, gdy na zachodzie w ziemi Judzkiej, narodzi się król. A znakiem jego narodzin będzie nowa, świetlna gwiazda, która zejdzie na zachodzie — wprost nad miejscem narodzin nowego króla.

I zaczęli rozmawiać pomiędzy sobą mędrcy. A pierwszy z nich rzekł:

— Żaden król dotąd pomiędzy ludźmi nie był zapowiedziany przez podobną gwiazdę. Wielcy królowie ziemi panowali i rozkazywali, a ich pojawienie się, nie było zapowiadane podobnem cudownem zjawiskiem. Bez wątpienia, nowy król będzie większym od Wielkiego Sezostrysa, którego sława rozbrzmiewała od stubramnych Teb, nad błogosławionym Nilem, aż do wierzchołków Libanu, pokrytych wysokiemi cedrami; on będzie potężniejszym od wszechmocnego Cyrusa, który zaciężył prawicą swoją nad wszystkiemi ziemiami i królestwami leżącemi pomiędzy Morzem Zachodniem, a falami Ciepłego Oceanu na wschodzie; i od Aleksandra Macedońskiego, który swoim zwycięskim mieczem rozpostarł swe panowanie od śnieżnych szczytów Tracji, aż do źródeł świętego Gangesu.

Drugi mędrzec rzekł stroskany:

— Drżyj, nieszczęśliwa ziemio, bo straszny zdobywca dziś się rodzi! Pola twoje będą znowu pokryte ludzkimi trupami, a twoje rzeki i przejrzyste potoki zobaczą fale swoje czerwonemi od krwi ludzkiej i nigdy dotąd tyle płaczu i łkania nie wzbiło się ku niebiosom!

Trzeci mędrzec dodał:

— Błogosławione niech będą nasze białe włosy, bo one są dla nas radosnym znakiem, i nadzieją, że nie dożyjemy tych strasznych dni, kiedy to dziś narodzony silny król wyrośnie i zmężnieje, a cięciem swej szabli pokryje ziemię krwawymi trupami, zgliszczami, pożarami, łzami i rozpaczą. Albowiem wszelka sława królewska wznosi się na ruinach, a wszelkie zwycięstwo okupuje się obrzydliwością spustoszenia.

Wtedy wszyscy trzej mędrcy rzekli:

— Szczęśliwiśmy, że nie dożyjemy tego dnia strasznego.

Potem mówili o imieniu nowego króla i pożądali koniecznie poznać imię nowego zdobywcy ziemi, który ją ma pokryć krwią i gruzami.

Więc znowu szukali i znaleźli tajemnicze znaki w księdze mądrości. Utrudzili się bardzo, zanim odgadli tajemniczą treść tych znaków.

Wreszcie ze zdumieniem odkryli, że imię nowego króla będzie:

M i ł o ś ć!

I zadziwili się wielce magowie, a serca ich się rozradowały, bo znikły wszystkie ich lęki o losy ludzkości.

Wtedy rzekli:

— Błogosławieni jesteśmy, trzykrotnie błogosławieni, żeśmy doczekali narodzin króla Miłości. Pójdźmy i oddajmy mu pokłon, gwiazda ta nas do Niego zawiedzie.

I trzej magowie z posiwiałemi brodami wzięli z sobą najwonniejsze kadzidła, myrrę i złoto, aby je złożyć w ofierze przy kolebce dobrego króla, i skierowali swe kroki ku górom Libanu.

A gwiazda szła przed nimi, pokazując im drogę.

Jantoś, syn pułku.

Miał wyłupiaste, błękitne, jakgdyby zawsze zdziwione oczy, wielką głowę o lnianej czuprynie i wielki brzuch, pod którym zdawały się uginać chude, czerwone, kabłąkowate nożyny.

Brudny był, bo i któż miał go myć? Matka, wyrobnica dzienna z roboty latała na robotę, zostawiała go najczęściej na klepisku koło pieca, z jednej strony stawiała miskę z ziemniakami a garnuszek mleka z drugiej. Jantoś jadł, jadły i kury jarzębiate i kokosia, zaglądał do mleka kot i swoim różowym, wąskim języczkiem pomagał Jantosiowi w wypróżnianiu garnuszka. Powoli mijała godzina za godziną i pozostawione własnej przezorności dziecko płakało, śmiało się, spało i tęsknemi oczyma spoglądało na drzwi zamknięte, na rdzawy rygiel, rychło też matusia przyjdą, rozczochraną głowinę popieszczą, wyjmą z węzełka kawałek chleba z masłem, czasem kukiełkę białą a czasem nawet cukru kawałek.

Smutna była to dola dziecięca.

Przez malutkie, zastawione pelargonjami okienko, wpadał w południe ukośny, złoty promień słońca, wtedy Jantoś pełzał ku środkowi izby, wyciągał do złotej, rozedrganej smugi brudne łapiny i płakał, bo jej uchwycić nie mógł, przeciekała mu przez palce, była wciąż, jeno nie dla niego.

Kot, także wtedy do świetlnej smugi dążył, kładł się na klepisku, rozciągał łapki, ziewał, zmrużonemi oczyma na rozwrzeszczane dziecko patrzył, I on miał dopiero trzy lata a jednak czuł swoją wyższość wobec tego małego człowieka, on już tak dawno samodzielnie myszy łowił, na ptaszki polował, matki nie pamiętał nawet, może nią była owa szara, gruba kocica od wójta a może drobna, czarna od Franka Gibały, kto tam wie, Jemu już potrzebną nie była a zwierzęta zatracają szybciej jeszcze od ludzi pamięć przeszłości, to co się stało przed rokiem, nie istnieje już dla nich. Burek był samolubny, dbał tylko o siebie, miewał jednak czasem i napady litości nad nieporadnością i samotnością dziecka, przychodził wtedy do niego, tarł grzbiet o jego nożyny, tulił czworograniasty łebek do Jantosiowego ramienia i zjizywał mu mało z chleba, bo taka to już kocia natura.

Wreszcie przyszła wiosna: jednego dnia wzięła matka Jantosia w płachtę i posadziła do słońca na wygonie. Dziecko było z początku oszołomione nawałem wrażeń, siedziało ze ściągniętą buzią, z szeroko roztwartemi, wystraszonemi oczyma, gotowe za mniejszą przyczyną uderzyć w głośny bek, ale przyczyny nie było, a przytem, tuż nad zagonem chyliła się miarowo postać matusi i powierzała rozgrzanej ziemi ziemniaki. A potem Jantoś zaczął się rozglądać coraz odważniej, tak zabawnie furkały ptaszęta nad srebrną wodą płynącego w dole strumienia, biły skrzydełkami w wodę, lgnęły piersią do fali i ulatywały hen! hen! wysoko, w niebios roz-

tokę. To znów dzióbkami zaczerpywały wody i przechylały tak zabawnie główki, by wodę połknąć.

— Żeby tak którego ułapić! pomyślało dziecko.

I Jantoś puścił się na czworakach, z oczyma utkwionemi w ptaki i w wodę, pełznął, jak w chałupie na sklepisku i nagle stracił równowagę, nie miał nawet czasu krzyknąć, znalazł się we mgnieniu na dnie jaru, na podłożu mchu, który go gościnnie i miękko przytulił.

Nie było już stąd widać matusi, woda jeno lśniła, szeptała, gwarzyła, jakąś nieznaną kołysankę a kołysała się nad nią, jak nieba odbicie niezapominajki i złociły bujnie rozkwitłe jaskry. Jantoś, łapinę wyciągnął do tych niezapominajek błękitnych, co się do niego śmiały, jak matusine oczy, do tych niezapominajek, co nad srebrem strumienia wabiły...

Bęc!

Chlusnęła płytka woda tęczą kropel i żałosny, bezradny krzyk dziecka poleciał przestrzenią.

Porwała się od kartofli matusia, serce jej w piersiach uderzyło w jakieś potężne larum, jak szalona, rzuciła się w stronę wąwozu.

— Jantoś! Jantoś!

Wydobyła go ze strumienia, czerwoną od krzyku buzinę pocałunkami okryła:

— Kaś ta wlazł, bąku utrapiony, synusiu najmilszy, Oj Jezu, z temi dzieckami!

Od tej przygody pierwszej skończyły się Jantosiowe wycieczki, matusia go znowu z Burkiem w chałupie zamykała i znowu pełzał jeno po klepisku i rączyny do smugi słonecznej wyciągał w tęsknocie.

Wreszcie nauczył się chodzić, trzeci rok już miał, inne dzieci biegają już w tym wieku doskonale, on dopiero pierwsze niedołężne kroki stawiał a z czegóż siły miał mieć? z tych kartofli, do których zazwyczaj nawet kapki omasty brakło?

Jesień przyszła, coś się dziać zaczynało na świecie dziwnego, grzmiało i grzmiało, jak gdyby jakaś burza niemilknąca rozpasała się nad ziemią, a niebo było pogodne i śmiało się na nim jaskrawe, jesienne słońce.

Dwa dni przesiedzieli w lesie a potem znowu do chałupy wrócili, matusia teraz siedziała w domu i garnęła go do siebie w trwodze, gdy ów pogłos grzmotów urastał w ryk i ziemią wstrząsał.

Nie było co jeść. Jantoś płakał żałośnie, coraz żałośniej, szarpał za kraj matusinego fartucha i powtarzał uporczywie:

— Matuś, chleba, chleba!

A blaknące oczy w szarej, mizernej twarzy kobiety bolesne były wtedy i bezradne; skąd wziąć tego chleba? Może lepiej było z innemi na poniewierkę iść w obcy świat, aniżeli zostać i przymierać z głodu wraz z dzieckiem.

Płakała matusia, płakał Jantoś, aż wyczerpani usnęli oboje.

Burek pierwszy na odwagę się zdobył, zaglądał do pustych garnków, przeciągnął się i poszedł mimo huku pękających granatów polować na myszy do sąsiedzkiej stodoły.

A matka też musiała w końcu zdławić lęk i iść po chleb dla dziecka... w to piekło.

Przycisnęła usta do roztargnionych włosków, twardą, ciemną dłonią pogłaskała główinę:

— Poczkaj Jantosiu, nie ruszaj się z chałupy, wele wieczora wrócę, chleba przyniosę.

Cosik ją w piersi zabolało przeczuciem, gdy w progu stanęła, ale skrzepiła się szybko, znak krzyża na piersiach zakreśliła i poleciała.

Jantoś do okienka się przyciągnął, buzię do szyby przylepił, i patrzył za nią, jeszcze raz mignęła mu czerwona zapaska we wierzbinie i musiała se matusia siąść, bo zapaska wciąż się czerwieniła w jednym miejscu, jak kwiat daleki.

Strasznie się czas Jantosiowi dłużył, głodny był, wyobrażał sobie dla uspokojenia kukiełkę, którą matusia przyniesie, ślicznie plecioną, rumianą i może da Jantosiowi całą. O Jezu...

Słońce zaszło...

Powinna już matusia wrócić niedługo, zaczęły się snuć po izbie długie liljowe cienie, zasnuwały kąty, zapadał mrok. Jantoś nigdy jeszcze nie był sam w ciemnej izbie, taka inna mu się zdała, taka straszna. W wyobraźni dziecka garnki zaczęły przybierać jakieś niesamowite, wyolbrzymione kształty, czarny okap komina zdawał się rość z każdą chwilą, świątki na ścianach ponure się stały i groźne a już na gorsze, to te matusine spódnice, wiszą w kącie i ile razy Jantoś spojrzy, to w bladym świetle księżyca zdaje mu się, że tam ktoś stoi, jakaś baba obca i straszna, jeno patrzeć jak z kąta wylezie i do dziecka ręce wyciągnie.

Boże! Jak się Jantoś boi.

Wtulł buzię w pierzynę i płacze.

Matusiu!

Krzyk leci i urywa się zdławiony łkaniem:

Matusiu!

Coś szmera w kącie...

Coś trzaslo...

Spodnice na kółku zdają się żyć.

Jantoś schował się cały pod pierzynę i łkał, łkał...

Aż usnął.

Zbudził go o poranku słoneczny promień, co mu w spłakane oczy zajrzał na arczywie.

Ranek wstał słoneczny, pogodny, przez szybę Jantoś zobaczył rosę na łące, rosę co świeciła, jak klejnoty.

Matusia...

A co, szukać jej pójdzie i już.

Otworzył z trudem drzwi i ruszył przez kartoflisko.

Wokół brzęczało coś, dźwięczało, jak srebrzystych jakichś pszczół gromada.

Jantoś szedł, a duszyczka dygotała mu w lęku, bo grzmiało.

A tam, w wierzbinie, zdaje się Jantosiowi, że widzi zapaskę matczyną. Zległa se matusia w trawie i śpi do słoneczka. — Czy też ma chleb — myśli dziecko, i głód ściska mu na to przypomnienie wnętrzności aż do bólu.

Idzie przez kartoflisko na swoich kabłąkowatych nożynach, mały, brudny, nędzny, biedny bezmiernie.

— Dziecko!

W okopach dojrzano idące wśród linji strzałów, dziecko, dojrzano je równocześnie w obu wrogich wojskach.

Dziecko!

I nagle, takgdyby na jakąś niewidzialną komendę urwała się palba ręcznej broni. Każdy z tych ludzi przypomniał sobie własne dzieci, własne małe, biedne, nad życie kochane dzieci, karabiny umilkły a ser-

---

KUPON 10.

ważny do ubiegania się o nagrodę za dobre rozwiązanie zagadek.

Imię i nazwisko . . . .

Miejsce zamieszkania . . . .

Ulica . . . . nr. . .

ce, co obojętnie znosiły grozę wojny, rozdygotały się trwogą o to pisklę obce. Dziecko...

Nie było już krwawych żołnierzy, byli tylko ojcowie litujący się nad cudzem dzieciętem.

A Jantoś nie zdziwił się nawet, że małe, srebrne robaczki brzęczeć przestały, ani, że umilknął jazgot karabinu maszynowego, szedł ku wierzbinie, nie zdając so ie sprawy z niebezpieczeństwa, szedł, nawołując słabym, piskliwym głosikiem:

— Matusiu! Matusiu! Matusiu!

Dopadł do śpiącej Matusi i stanął zafrasowany:

— Matusia to, czy nie matusia?

Zapaska matusina i chustka ale na twarz sinozielona o zamkniętych oczach, to chyba nie matusia. A może...

Z linji okopów nadszedł żołnierz, na ręce dziecko wziął i rozczochraną główinę ulił.

— Nie bój się, nie bój, chleba ci dam.

— Cicho, cicho...

— Matusia?

— Matusia do Bozi poszła, synaczku... Cicho, mam w domu pięcioro takich... Ej Boże...

Wiedział, czuł, że nik do dziecka nie strzeli, poczucie ludzkości zwyciężyło nawet poczucie obowiązku, we wrogich okopach milczały karabiny, a niejedne oczy wilgotne były od łez.

Napojono Jantosia kawą czarną, słodką jak ulepęk, dano chleb i piernik. Odesłano go potem z pierwszą okazją w głąb kraju, polecając opiece towarzyszy za frontem, syna pułku.

I był Jantoś synem pułku i jest nim do dzisiaj, bo wychowują go ze składek oficerowie i żołnierze.

Nowy kościół polski w Ameryce.

W stolicy zagłębia węglowego, w Scranton, odbyło się poświęcenie nowozbudowanego kościoła parafji polskiej p. w. Najsłodszego Serca Jezusowego. Obrzędu dokonał Ks.-Biskup C. O. Reilly w asyście Biskupa Polaka ks. Plegensa z Detroit. W uroczystości brały udział tysiączne rzesze braci polskiej. Duszpasterzem tej parafji jest ks. prob. Andrzej Zychowicz, z najzasłużeńszych księży na wychodźtwie, którego Stolica Apostolska mianowała w ostatnich tygodniach prałatem.

DLA ROZRYWKI

Nr. 27. Przestawianka flizowa.

		1			2			3			4	
		S			P			U			T	
8	U		A	R		N	T		O	B		A
		T			E			T			N	
		L			L			N			I	
7	T		E	B		A	C		E	K		C
		A			U			A			S	
		I			M			T			L	
6	K		A	A		N	K		A	L		A
		N			E			A			E	
		P			Y			R			D	
5	Ł		A	M		P	J		A	W		
		A			T			Y			A	

W przestawiance jest 16 fliz, na każdej są 4 litery. Flize trzeba pociąć i ułożyć tak, aby utworzyły 4 wyrazy czytane z góry na dół i 4 wyrazy z lewej na prawą. Znaczenie wyrazów: 1 — Muzyk grający na lutni. 2 — Zakład publiczny, naukowy. 3 — Gra, ta sama co szachy. 4 — Szeroki, krótki płaszczyk bez rękawów. 5 — Miasto, w województwie śląskiem. 6 — Towarzystwo; spółka. 7 — Drobnostka. 8 — Posiadający najniższy stopień akademicki. Ułożył Pokrzywa.

Nr. 28. Łamigłówka sylabowa

ułożył E. Szafiermi.

Z następujących sylab: a, ak, am, ba, dres, fus, is, ka, ła, łam, per, rak, rol, rum, snop, tor, ty; ułożyć 9 wyrazów, których drugie litery czytane z góry na dół dadzą imię i nazwisko poety polskiego; zaś pierwsze litery czyt. z góry na dół, dadzą znaczenie w innem słowie: wróżbiarza.

Znaczenie wyrazów: 1. Imię męskie. 2. Napis na kopercie listu. 3. Drewniany, tymczasowy budynek. 4. Jednostka natężenia prądu elektrycznego. 5. Alarm, popłoch. 6. Nazwa religji mahometańskiej. 7. Wiązka słomy. 8. Choroba gorączkowa. 9. Odgrywający rolę w teatrze.

Rozwiązanie zagadek z nr. 53.

Nr. 23. Skok konika.

Samotny domek boży na górze stoi zwyż.
I w blaskach rannej zorzy omszały kąpie krzyż,
Kościółek opuszczony zabytek dawnych dni,
:,: Dziś wiekiem pochylony o swej przeszłości śni :,:

*

A kiedy rankiem w święto naokół dzwony brzmią,
Modlitwą tu zaczętą, tam echa nikłe drżą
I w sercach ludzkiej rzeszy zaklęty budzą cud;
:,: Znów do kościółka spieszy pobożnych tłum jak wprzód :,:

Nr. 24. Zagadka.

Karolina.

Miasto z Afryki: **Kairo;** — wzgórze w Palestynie: **Akra;** — rzeka we Włoszech: **Arno;** — krzak: **kalina;** wicher gwałtowny: **orkan;** — skrzynia historyczna: **arka;** — osoba znaczna: **król** — przeciąg czasu: **rok;** — pora dzienna: **rano;** — woda co leczy: **arnika;** — z innych bliżej nieokreślonych np. **klor, kir, ikro, nora, kara, arak, lira itd.;** — ryba: **lin;** — **rak;** trzy imiona: **Aron, Karol, Klara;** — nazwa herbu polskiego: **orla;** — majątek rolnika: **rola;** — wyraz karciarski **karo;** — coś od powroźnika: **lina;** — przystrój niewieści: **koral;** — część ciała: **kolana lub ikra.**

Dobre rozwiązanie zagadek nr. 23 i 24 nadesłali: jeszcze: Antoni Kołodziej, Pszów. Adolf Kaluża, Jedłownik.

Dobre rozwiązanie zagadek nr. 23 i 24 nadesłał: Stanisław Czech, Mąkołowiec. Leopold Kawka, Szarlej. Elżbieta Wyleżałkówna, Szarlej. (Nagrody wysłane.)